

Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

.. The.. Polish Fortnightly Digest



Nr.13/143

3·VIII·1944

6d

1. OD REDAKCJI.....	str. 338.
2. BIEG WYPADKÓW W NIEMCZECH.....	339.
3. B. B. C. PRACUJE.....	341.
4. CO MYŚLI AMERYKA ?.....	345.
5. DZIECI MOŻNA NAUCZYĆ ŻYCIA.....	347.
6. CZY WIECIE, ŻE.....	350, 364.
7. AKCJA POD STARĄ WSIA.....	351.
8. PRZYSZŁOŚĆ AUSTRALII.....	352.
9. MINOWANIE NIEPRZYJACIELSKICH WÓD.....	356.
10. BOMBARDUJEMY TURYN.....	epizod 361.
<u>OKŁADKA: Moment opuszczenia budynku przez żołnierzy Pol- ski Podziemnej, po wykonaniu egzekucji na szefie wydzia- łu pośrednictwa pracy, L. Hoffmannie. /Rys. kpt. de Grineau./</u>	

OD REDAKCJI.

Wszystko na świecie mija. Tak i minął okres naszej przerwy miesięcznej. Papier nadszedł, mamy przeto zapewnioną spokojną pracę do końca roku. Później jest czas się martwić. Trudno przewidywać, gdy wypadki toczą się z szybkością lawiny. Któż może powiedzieć na pewno, gdzie się znajdziemy i co będziemy robili w 1945 roku.

Na druk jeszcze niestety nie przechodzimy. Drukarnie są zawałone pracą i nie mogą gwarantować punktualnego wypuszczania numeru. Nie tracimy jednak nadziei i staramy się doprowadzić zamysły nasze do pomyślnego wyniku.

Ilość prenumeratorów zwiększyła się ostatnio bardzo. Przybyli nowi ludzie, spragnieni polskiego słowa i chcący czegoś się nauczyć, aby zapełnić lukę straconych ubiegłych lat.

Poprawia to ogromnie naszą sytuację finansową, ale... jest małe ale... Duża ilość starych Czytelników zalega z opłatą prenumeraty. I to czasem za rok cały. Dla Czytelnika to niewielka suma. Dziewięć a może dwanaście szylingów. Dla Redakcji jednak to dziesiętki funtów, których nikt z nas nie jest w stanie pokryć.

Prosimy przeto usilnie o zapłacenie zaległości i opłacanie prenumeraty z góry za II-gie półrocze, wynoszące obecnie z powodu opuszczenia dwóch wydań S. 5/-.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

40, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.

Tel. 52396.

Bieg wypadków w Niemczech.

To, co się dzisiaj dzieje w Niemczech może wojnę skrócić, ale może ją też i przedłużyć. Zaszłe wypadki wywrą również ogromny wpływ na to, czy świat wygra po tej wojnie długi pokój, czy nie.

Gdyby generałom udało się uprzętnąć Hitlera, rozpoczęliby w krótkim czasie pertraktacje z Anglią i Ameryką o zawarcie pokoju, nawet kosztem okupacji przez te państwa całych Niemiec. Oczywiście pod pewnymi warunkami. Szantażowałiby przy tym groźbą zajęcia i skomunizowania Niemiec przez Rosję.

Wobec zwycięstwa /przynajmniej chwilowego/ Hitlera, wojna trwać będzie jeszcze przez jakiś czas dalej. Jak długo - niewiadomo. Zależy jest to jednak w pewnym stopniu i od ilości rozstrzelanych "uzurpatorów" i ich sympatyków.

Bieg wypadków może mieć również i wielki wpływ na przyszłość świata. Od nich bowiem zależy na jakich warunkach zawarty zostanie z Niemcami pokój. Trzeba pamiętać, że Alianci też są już zmęczeni wojną, a Zachód ma jeszcze przed sobą nie lekką przeprawę z Japonią. Nie jest wykluczone przeto, że dla uratowania nawet kilkudziesięciu tysięcy żyć swych żołnierzy, zgodziliby się na pewne ustępstwa od t. zw. "unconditional surrender".

Gdyby więc w tych warunkach generalicja niemiecka zdołała coś uratować na przyszłość, to niewiadomo, czy przy dzisiejszych postępach na polu technicznym, trzecia wojna nie wybuchłaby nawet jeszcze po krótszym okresie czasu.

Jeżeli natomiast Hitler utrzyma się przy władzy, to z nim absolutnie nikt pertraktować nie będzie. Hitler nie jest politykiem, ale jest za to maniakiem-mordercą, jak go nazywa Observer. Jego celem jest panowanie nad światem w razie zwycięstwa, a pozostawienie mitu o swym posłannictwie, jako wodzu Niemiec, w razie klęski. Ażeby ten mit przetrwał i pomógł przyszłym pokoleniom urzeczywistnić kiedyś pruskie marzenia o hegemonii nad światem.

Walka będzie przeto trwała. Coraz bardziej jednak przeziiera jej bliski koniec. Oczywiście koniec wojny z Niemcami.

Co będzie potem, trudno przewidzieć. Zależne to jest od postępowania Rosji. Jedno jest wszakże dziś zupełnie oczywiste: armia czerwona pierwsza zajmie Berlin. Fakt ten może mieć przeogromny wpływ na dalszy bieg historii, nie tylko Europy, ale i całego świata.

Defilada blisko 60.000 jeńców niemieckich z generałami na czele poprzez ulice Moskwy, daje wiele do myślenia. W momencie, gdy wszelkie środki przewozowe są niezbędne dla dostawy amunicji, żywności i t.d. na front, zajmuje się ponad tysiąc wagonów lub kilka tysięcy ciężarowych samochodów, ażeby w stolicy skoncentrować taką ilość jeńców dla celów propagandowych lub...politycznych. Jest to nader symptomatyczne...

Wobec zneglizowania sobie przez dowództwo hitlerowskie frontu wschodniego, a uparte bronienie t. zw. europejskiej fortecy /dla prestiżu hitlerowskiej propagandy/, armie brytyjsko-amerykańskie nie zdołają w tych warunkach niestety uprzędzić Rosjan.

W chwili obecnej nader ciekawe są plotki i wersje, jakie krążą o wypadkach w Niemczech w państwach neutralnych.

Reuter i Brytyjska Zjednoczona Prasa /B.U.P./ donoszą: W Bernie twierdzą, że generałowie von Brauchitsch i von Rundstedt zostali zamordowani w gigantycznym puczu, jaki miał miejsce zaraz po ujawnieniu zamachu. Zastrzelono również wielką ilość junkrów pruskich, przeważnie wyższych oficerów. Wymieniane są między innymi i nazwiska von Mansteina i von Lista.

W Sztokholmie pewien podróżnik szwedzki twierdził, że co najmniej 100 generałów rozstrzelano. Drugi Szwed widział w Berlinie więcej niż sto samochodów Gestapo, zapakowanych aresztowanymi oficerami. Powtarza on również wersje, krążące w stolicy Niemiec, że dwie dywizje, stacjonowane w Prusach Wschodnich zbuntowały się, a także, że armia, okupująca południową Francję, wypowiedziała się przeciw Hitlerowi.

Wiadomości, płynące z Madrytu stwierdzają, iż w południowych Niemczech trwają walki między dywizjami S.S. i Gestapo z jednej strony, a wojskami zbuntowanymi z drugiej. Ambasada niemiecka w Madrycie otrzymała rozkaz zwracania uwagi na wszystkich przybywających tam Niemców, a szczególnie na wyższych oficerów armii.

I wreszcie korespondent amerykański, przebywający

w Ankarze, nadał przez radio wiadomość do New Yorku, że nowo zorganizowany rząd zdołał zaaresztować Hitlera.

My możemy dodać, że w ciągu bardzo krótkiego czasu ...dowiemy się całej prawdy.

B.B.C. pracuje.

M.P.

"Dla podziemnych sił walczącej z przemocą Europy, głos BBC jest głosem nadchodzącej wolności".

Takie znaczenie dla podbitych narodów posiada głos londyńskiej rozgłośni radiowej.

Głos ten, to nieraz jedyna nadzieja, podtrzymująca ludzi w ich walce z koszmarną rzeczywistością. Pocieszające wiadomości zagłuszają zmartwienia, gdyż a niejednokrotnie i rozpacz z powodu przeżywanych dramatów.

Europa pamięta ciężkie chwile po zwycięstwach Niemców w lecie 1940 roku. Najpierw przyszły wiadomości o odparciu niemieckiego "blitzkriegu" nad Anglią. Potem świetne zwycięstwa gen. Wavella nad Włochami w Północnej Afryce. Wreszcie po ponurej wiadomości o zatopieniu Hood a, wspaniała wieść o posłaniu na dno Atlantyku potężnego Bismarka. Potem pierwsza klęska Niemców pod Stalingradem. I tak dalej, dalej, aż do chwili lądowania Sprzymierzonych we Francji.

Wszystkie te wiadomości, nadawane bezzwłocznie przez Londyn, a rozpowszechnione przez podziemną prasę czy też pantoflową pocztę, wchłaniane były przez dziesiątki milionów ludzi z chciwością, o jakiej my tu nawet pojęcia mieć nie możemy.

Radio brytyjskie pracuje i to pracuje co raz intensywniej. Jak to idzie, dowiadujemy się w części z ciekawego artykułu, napisanego przez Williama Bayles'a w amerykańskim Saturday Night.

Doniesienia z okupowanej Europy wskazują, że Anglia zdobywa sobie tam stale wzrastające audytorium radiowe, obliczane obecnie na przeszło dwa miliony słuchaczy. Głos Anglii rozlega się nad Kontynentem w ciągu czterdziestu czterech radiogodzin na dobę i wygłaszany jest w dwudziestu językach na dwudziestu sześciu długościach fal. W zabezpieczonej przed bombami londyńskiej kwaterze głównej B.B.C., ponad 600 osób pracuje nad "wyrobem

amunicji" dla tej sui generis ofensywy powietrznej. W pracy tej biorą udział królowie i królowe, głowy szeregu rządów na wygnaniu, generałowie i dyplomaci.

Ten radiowy "blitz" wspierany jest przez śmiały wywiad, prowadzony przed samym nosem Gestapo. Wiadomym jest jak londyńskie audycje przyjmowane są w krajach okupowanych przez Niemców.

Eksperti, rozsiani po wszystkich krajach Europy, stale informują B.B.C. o rodzaju odbioru nadawanych programów i o reakcji słuchaczy. Wzory radioodbiorników, używanych na Kontynencie, przesyłane są do Anglii do zbadania i słuchacze europejscy pouczani są przez B.B.C. o najprostszych sposobach rozszerzenia ich zasięgu. Niemcy dowiadują się tą drogą jak trzeba budować anteny ramowe, ażeby zmniejszyć zagłuszanie i jak ulepszać "popularne" radioodbiorniki Goebbelsa dla uzyskania lepszego odbioru rozgłośni londyńskiej.

W celu sparaliżowania tej działalności, Niemcy powołali do życia specjalny Departament Obrony Przeciwradiowej, złożony z fachowców w tej dziedzinie. Przyznawszy, że kara śmierci nie odstraszyła Europejczyków od słuchania Londynu, Departament zalecił stosowanie na olbrzymią skalę "zagłuszania". Fale powietrzne nad Europą zapełniły się kakafonią dźwięków katarzynki, grzytów pił, świergotu ptaków, wrzasków ludzkich głosów, huku młotów bijących w kowadła, gwizdków parowych i głośniejszych sygnałów Morsego.

Anglia odpowiedziała powiększeniem ilości stacji transmitujących ten sam program na dwunastu, różnej długości, falach. Niemcy uzupełniły wówczas swe rozgłosnie "zagłuszające" tysiącami małych 100-woltowych stacyjek, o zasięgu około dwóch mil każda.

W Berlinie przebywa główny kontroler "służby zagłuszania", który ustala programy przeznaczone do zagłuszenia i wydaje odpowiednie rozkazy kontrolerom rejonowym. Ci ostatni przekazują je niezwłocznie małym stacjom zagłuszającym, mieszczącym się zwykle w miejscowych biurach Gestapo. Z chwilą rozpoczęcia się niepożądanego programu, kontrolerzy rejonowi, posiadający wyłączne prawo słuchania radia, sprawdzają skuteczność zagłuszania i wzywają

w razie potrzeby dodatkowe rozgłoszenie do pomocy. Dążąc zapamiętałe do zdławienia za wszelką cenę głosu Anglii, Niemcy poświęcają dziś więcej czasu, sprzętu i pieniędzy na zagłuszanie, aniżeli na nadawanie.

Wybierając speakerów dla Europy, eksperci londyńscy wypróbowali ich głosy w sposób niezmiernie prosty: nagrywają na jedną płytę hałas zagłuszania i głos speakera, poczym przysłuchują się rezultatom próby. Wielomiesięczne doświadczenia wykazały, że najlepiej dają sobie radę z zagłuszaniem głosy dość wysokie i monotonne. Rodzaj głosu speakerów amerykańskich uznany został za zupełnie nieodpowiedni.

Angielski wywiad radiowy pracuje usilnie nad ustaleniem typu audycji najbardziej odpowiadającej poszczególnym krajom. Ludzie bowiem, którzy ryzykują życiem dla słuchania radia, mają prawo wyboru programów. Na jednym punkcie cała Europa jest zgodna: nie uznaje radia jako "środką łagodzącego". "My w Europie", oświadczył jeden z polskich członków podziemnej pracy, "żyjemy w atmosferze twardej i nieubłaganej walki z Niemcami. Nie karmcie nas powiastkami i dramatami na temat rozkoszy swobody i wolności. Podawajcie nam fakty, chcemy bowiem wiedzieć jak idzie wojna."

Stąd europejski program radiowy składa się w 75 procentach z aktualnych wiadomości i w 25-z przemówień działaczy narodowych oraz komentarzy i informacji różnego rodzaju. W przeciwieństwie do bombastycznego stylu Geobbelsa, w którym każda parominutowa wiadomość poprzedzana jest kwadranssem "robienia nastroju", londyńskie audycje są spokojne, uczciwe i raczej nawet za skromne.

Największy nacisk kładzie się na bezpieczeństwo słuchaczy. Londyn w porę ostrzega jeżeli Gestapo wprowadza jakiś specjalny dźwięk w zagłuszaniu radii brytyjskiej dla umożliwienia podsłuchującym pod drzwiami agentom stwierdzenia, czy radio przedstawione jest na B. B. C. Dba się również o to, żeby nie zdradzić słuchacza głośnymi fanfarami lub zmianą w nasileniu.

Zdaniem André Philip a, przywódcy francuskich socjalistów, którego podziemna gazetka informacyjna rozchodzi się w 50.000 egzemplarzy, ruch wolno-

ściowy we Francji zawdzięcza całą swą egzystencję propagandzie radia londyńskiego. Materiał informacyjny dla setek wydawnictw podziemnych rozchodzi się po całej Europie. Ukryci radiosłuchacze notują uszyszane wiadomości i informują pozbawionych wszelkich możliwości zewnętrznego porozumiewania się redaktorów o wydarzeniach, które miały miejsce w ich własnym kraju. Za ich pośrednictwem przekazuje się również nazwiska agentów i informatorów nieprzyjacielskich.

Linia propagandy londyńskiej jest prosta i wyraźna: ma ona reprezentować brytyjski światopogląd i nic ponadto.

Podczas gdy Niemcy i Związek Sowiecki niejednokrotnie utrzymują, że programy ich są nadawane przez różne "wolnościowe stacje" znajdujące się na terenach nieprzyjacielskich, Londyn wyraźnie firmuje każdy swój program i dba o to, żeby był on tak niewątpliwie angielski jak Yorkshire pudding.

Gruntowne i szczegółowe sądowanie opinii słuchaczy wykazało, że Europejczycy wolą słuchać z Londynu przemówień Anglików. Niemcy, nawet antyhitlerowcy uważają za renegata każdego Niemca, pracującego poza granicami kraju dla nieprzyjaciela. Anglik zaś, chociażby źle władał obcym językiem, ma mocną moralną pozycję, dzięki czemu głos jego posiada większy ciężar gatunkowy.

Ochota, z jaką Europejczycy stosują się do załeczeń Londynu, przeszła wszelkie oczekiwania. Tego samego dnia, w którym Czesi zostali wezwani do bojkotu proniemieckiej prasy, kolportaż tej ostatniej spadł do tego stopnia, że wszystkie dworce były zapchane niesprzedanymi pismami. "Wycieraj nos dwa razy częściej; kichaj często; odwiedzaj toaletę dwa razy częściej i przesiaduj tam dwa razy dłużej" przyjęło się w całej Europie i zmusiło Niemców do grożenia surowymi karami wszystkim tym, którzy "zarazili się katarem i biegunką od B. B. C.

Nawet oficjalne koła niemieckie ku niewątpliwemu znartwieniu hitlerowskich propagandzistów, liczą się z informacjami Londynu. Komendant niemieckiej łodzi podwodnej, porucznik Fenn, zameldował niedawno, że kłódz jego wraz z dwiema inny-

mi zaatakowana została przez brytyjskie samoloty. Na skutek wstrzymania ognia przez jedną z towarzyszących łodzi, usiłującej zanurzyć się, samoloty zniżyły lot i zatopiły dwie. Jemu udało się szczęśliwie wymknąć. Wszyscy mu gratulowali i prasa zamieściła opisy jego przygody. Wkrótce potem Niemcy dowiedzieli się prawdy z wersji londyńskiego radia: kładź Fenna była właśnie tą, która zaprzestała ognia i zanurzyła się. Porucznik Fenn został oddany pod sąd wojenny. Widocznie władze niemieckie uznały, że słowo Londynu ma większą wagę, niż słowa niemieckiego oficera.

Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że Anglia zachowa i po wojnie swoje europejskie audytorium. Jej potężne imperium radiowe, zbudowane w okresie największego chaosu na Kontynencie, zawładnęło milionami serc, które pozostaną mu wierne.

Co myśli Ameryka?

Zdaje się że czasy, w których dzielono świat pomiędzy trzy mocarstwa, na razie jakby się zakończyły. Wszyscy zaczynają rozumieć, jakie znaczenie posiada głos i innych narodów europejskich, a w pierwszym rzędzie głos Francji i Polski.

A jakie zmiany nastąpiły w poglądach amerykańskich na dalszy przebieg wojny i na znaczenie Francji i Polski w układzie sił na Kontynencie, wskazuje artykuł wybitnego dziennikarza amerykańskiego, Mr. Waltera Lippmanna, ogłoszony w Washington Post 10 czerwca b.r., z okazji pobytu premiera Mikołajczyka w Stanach Zjednoczonych.

"Miarą, jak ważne są układy polityczne wobec rozpoczętej walki o Europę, jest zaproszenie do Waszyngtonu premiera Polski w chwili obecnej a generała de Gaulle w najbliższych paru tygodniach. Porozumienia tak z Polską jak i z Francją są przynaglajaco ważne. Sumner Welles, z którym różniemy się w zapatrywaniach, jest przeciwnego zdania. Twierdzi on że polityczne porozumienie z Francją powinno być odłożone na po wojnie lub też do momentu, w którym naród francuski będzie mógł swobodnie wybrać swój rząd. Wojna jednak nie może

być pomyślnie zakończona bez pełnego udziału rządów francuskiego i polskiego i zaproszenie premiera Mikołajczyka i generała de Gaulle są właśnie tego faktu dowodem".

"Trzy wielkie mocarstwa dotychczas nie uzgodniły pomiędzy sobą warunków zawieszenia broni, które mają zamiar narzucić Niemcom. Jeżeli Mr. Sumner Welles wypowiada się przeciw temu, ażeby wielkie mocarstwa dyktowały przyszłe losy świata, to prawdziwie oznacza to, że wszelkie takie próby się nie powiodły".

"Twierdzenie, że Londyn, Moskwa i Waszyngton dyktują przyszłość Europy, jest tylko wprowadzaniem ludzi w błąd; w rzeczywistości nie tylko jest daleko do tego dyktowania, ale dotąd nie nastąpiło porozumienie co do niezbędnych i ważnych decyzji i nawet grozi niebezpieczeństwo, że kapitulacja Niemiec może zaskoczy Aliantów pod względem politycznym równie nieprzygotowanych, jak to się stało po upadku Mussoliniego".

"A przyczyną tego braku porozumienia jest, że żaden ważniejszy problem europejski nie może być rozwiązany bez udziału Francji i Polski. Nieobecność przedstawicieli tych obu krajów na naradach alianckich z góry uczyniła ważne europejskie kwestie nierozwiązalnymi. Pogląd pana Welles a, że Francja i Polska mogą być chwilowo zastąpione przez delegatów innych państw, oraz przez południowo-amerykańskie kraje, powstał, zdaje się, z niedoceniaenia przez niego istotnych punktów spornych".

"W chwili, gdy sowieckie armie maszerują przez Polskę w kierunku Niemiec, dwie kwestie powinny zostać jasno uzgodnione. Pierwszą jest linia, która powinna oddzielać terytorium, administrowane przez Sowiety, od terytorium, administrowanego przez rząd polski. Jest to sprawa uzgodnienia granicy sowiecko-polskiej i jeżeli ona nie może być rozwiązana de jure, to musi być rozwiązana de facto. Istnieje jednak jeszcze i druga linia, która winna być ustalona. Jest ona tak samo a może i bardziej ważna i należy już dzisiaj ją wykreślić. Jest to linia polsko-niemieckiej granicy".

"Niemożliwym jest ustalić wschodnią granicę Nie-

miec bez pełnego udziału rządu polskiego w toczących się naradach. Granica ta winna być wykreślona w warunkach zawieszenia broni. Niezałatwienie tej sprawy, pozostawienie otwartymi takich kwestii, jak Prusy Wschodnie, Śląsk lub "Korytarz", pociągnie za sobą niekończące się kłopoty. Żaden rząd polski nie może się zainstalować w Warszawie bez absolutnej pewności, na jakim terytorium ma prawo rządzić, jaką ludnością musi kierować i jakimi ośrodkami może rozporządzać.

"Bez polskiego rządu na polskim terytorium, armie sowieckie okupujące Niemcy, posiadać będą linie komunikacyjne, biegnące przez bezpieczny pod względem politycznym kraj. Okupowanie Niemiec nastąpi faktycznie bez świadomości, gdzie się te Niemcy zaczynają a Polska kończy".

"Nie są to problemy urojone, ale istotne pierwiastki zasadniczych kwestii, które muszą być rozstrzygnięte dla zakończenia wojny. Są one jednak nierozwiązalne bez udziału rządu polskiego, będącego w pełnym porozumieniu z rządem sowieckim".

"Prezydent Roosevelt zdaje sobie z tego sprawę, gdyż nie zapraszałby premiera polskiego w chwili inwazji Francji i w momencie gdy armie sowieckie wkraczają na całej długości do Polski".

Dzieci można nauczyć życia.

Przykłady wskazują, jak łatwo jest nauczyć życia dzieci, jeżeli się umie podejść i jeśli potrafi się odpowiednio do nich przemówić. Dzieci odznaczają się fenomenalną pamięcią. Chwytają w lot wszystko, co widzą i słyszą i niejednokrotnie potrafią powtórzyć to dosłownie. Gdy dziecko podchodzi do czegoś uczuciowo, a dorośli potrafią jego zainteresowania odpowiednio nakierować, dana nauka pozostaje w pamięci dziecka przez całe życie.

Jest to temat ciekawy, albowiem każde z nas, żyjących istot, posiada swe wspomnienia z dzieciennych lat i prawie bez wyjątku, czy były w owym czasie więcej lub mniej przyjemne, są nam one niezmiernie drogie.

Posłuchajmy, co piszą o tym różni ludzie, odgrzebujący w pamięci epizody z najszcześniejszego okresu swego życia.

PIĘKNO CIEMNOŚCI.

Gdy powiedziałam swej matce, że się boję ciemności, rzekła mi: "ależ dziecko, wcale nie wiesz, ile czaru ciemność w sobie posiada!"

Tego wieczoru znalazłam ją siedzącą po ciemku w sypialni. "Nie wchodź, jeżeli nie chcesz", rzekła do mnie, "ale gdy oczy twe przywykną do ciemności możesz tu zobaczyć wiele rzeczy, których nie ujrzysz w czasie dnia".

Usiadłam przy niej i słuchałam, jak mówiła o zmienionym wyrazie pokoju. Wszystkie tak dobrze znane przedmioty wyglądały inaczej. Łóżko wydawało się tylko miejscem, na którym można się wygodnie położyć. Nie widać było szydełkowego pokrycia, broniącego przystępu do niego. Krzesła przestały się wydzielać. Wszystko wyglądało spokojnie i przydatnie i jakby do siebie zapraszało.

Któregoś wieczoru usiadłyśmy przy oknie i słuchałyśmy dalekiego śpiewu, płynącego z pobliskiego kościoła. Poiliśmy wzrok widokiem pięknego świerku, rognącego przed oknem i iskrzącego się od płatów śniegu na tle mroźnego, roziskrzonego gwiazdami nieba.

W następnych dniach często gasiliśmy światło, aby tylko rozkoszować się spokojem i pięknem ciemności.

Pewnego razu matka rzekła mi: "Nie lękaj się nigdy. Zbadaj najprzód przedmiot, którego się boisz i przekonaj się dlaczego cię przestraszył".

Po wielu latach zmuszona byłam omówić z mężem poważne materialne straty, jakie nas w tym czasie czekały. Zgasiliśmy światło, jak to czyniliśmy nieraz, gdy pragnęliśmy się skupić dla wysłuchania muzyki lub rozwiązania jakiegoś poważnego problemu. Słowa matki mej stanęły mi w pamięci. Opawialiśmy się przyszłości i tego, co nas miało spotkać, ale wyszliśmy mu naprzeciw z całym spokojem i postanowieniem przyjęcia losu z odwagą. Wzmocniło to nas i przywróciło równowagę i ochotę. Odkryliśmy wtenczas, ile rozkoszy dają człowiekowi drobne przyjemności. I ile radości wynieść można ze współdziałania i wzajemnego wspierania się.

Tak, nauczyłam się w dzieciństwie nie bać się ciemności i odkryłam jej piękno. Poznałam jak stać w obliczu życiowych problemów, nie tylko z od-

wagę ale jednocześnie i nauczyłam się je odpowiednio ościślać.

"BABCINA BECZKA."

Wkrótce po przybyciu dziadków do naszego domu, zapoznaliśmy się z "babciną beczką". Na pytanie, gdzie jest palto lub zabawka, których ani rusz nie mogłem znaleźć, babcia słodko odpowiadała: "Nie powiesiłeś na wieszaku? Nie położyłeś na miejscu? Jeżeli nie, to pewnie jest w beczce."

Trzeba było się skrabać do wielkiej beczki, przybitej gwoździami do podłogi i albo wślizgiwać się do wewnątrz lub zagłębiać głowę w dół, ażeby wyciągnąć z dna nowiutkie ubranie, książki szkolne czy piękne zabawki. Niedługo też trwało, gdy nauczyliśmy się kłaść wszystko na swoim miejscu.

Dzisiaj, gdy tylko chcę nieco później zawiesić moje palto czy kapelusz, w tej chwili stają mi w oczach pomięte na dnie "babcinej beczki" rzeczy. Gdy tą beczką grozę własnym dzieciom, wiedzą co to znaczy i natychmiast układają na miejsce swe nieporządnie rzucone przedmioty.

FIERWSZY ZAROBEK.

Liczyłem akurat sześć lat w momencie, gdy poprosiłem rodziców, emigrantów z Rumunii, aby pozwolili mi sprzedawać gazety, jak to czynili już od dawna moi starsi bracia.

Matka wyraziła zgodę i z 10 centami w kieszeni, jako kapitałem zakładowym, pobiegłem do najbliższego kiosku, gdzie kupiłem mój pierwszy towar do handlu.

Koło obiadu piętnaście centów brzęczało w mej kieszeni, gdy biegłem w stronę domu. Byłem z siebie bardzo dumny. Cała rodzina otoczyła mnie w chwili, gdy kładłem na stole pieniądze, oczekując ogólnych pochwał.

"Hu", zadzwiała jedna z mych sióstr z dziecinnym okrucieństwem, "całe popołudnie i tylko trochę niklu".

Opadły mi skrzydła... Centy nie zadzwoniły już cudownie, jak przedtem, gdy matka brała pieniądze ze stołu i kładła je do kieszeni swego fartucha. Nie rzekłszy słowa, poszła do pobliskiego sklepu i wróciła wkrótce z wielkim pięciocentowym bochenkiem chleba /cena z przed I światowej wojny/. Ukrajała odpo-

wiednią ilość kromek i rozdzieliła je pomiędzy wszystkich. Wtedy zwróciła się do mnie.

"Za zarobiony przez ciebie "nikiel" kupiłam ten bochen chleba. Dziś ty chłopcze pomogłeś nakarmić całą rodzinę".

Nikt nie rzekł słowa. Moje uczucie dumy z wykonanej pracy powróciło i nigdy w życiu chleb nie smakował mi lepiej, jak w owym to dniu.

Czy wiecie, że...

Marnie się dzieje w byłej pięknej stolicy Austrii. St. Gallen Tagblatt twierdzi, że Wiedeń dzisiaj to jeden olbrzymi wojskowy obóz.

Cywilów nie zajętych w fabrykach, czy przy innych ważnych pracach, ewakuowano z miasta. Parę jeszcze otwartych wielkich hoteli zostało zarekwirowanych na potrzeby wojska. Nawet łazienki w nich zamieniono na sypialnie.

Wszystkie modne restauracje dawno już zamknięto. Miejsca w teatrach są do wyłącznej dyspozycji żołnierzy i robotników amunicyjnych. Niema taksówek a po ostatnich nalotach komunikacja tramwajowa została mocno zredukowana. Tak jak i w innych miastach Rzeszy, okna wystawowe sklepów świecą zupełną pustką.

Wiedeńczycy zmienili się okropnie. Radość życia i wesołość opuściła ich zupełnie. Stali się poważni i milczący.

Wiele znanych pobliskich rozrywkowych i zdrowotnych miejscowości zapełniono rannymi. Na ulicach Wiednia spotyka się pełno żołnierzy rumuńskich, bułgarskich, kroackich i słowackich a nawet Serbów i Greków.

Zaciągnęli się "na ochotnika" i przydzielono ich do niemieckich S. S. i innych formacji.

Ulice Wiednia są brudne i zapuszczone. Albowiem ponad wszystko potrzeby armii są na pierwszym miejscu.

Wartość zabitego żołnierza diabelnie rośnie. Eksperci w Stanach Zjednoczonych obliczyli w przybliżeniu, że życie żołnierza kosztowało:

za czasów Juliusza Cezara.....	S. 3/6
za Napoleona	£: 750
podczas Amerykańskiej Wojny Cywilnej.....	£: 1.250.
za I-szej Wojny Światowej.....	£: 5.250.
za II-giej Wojny Światowej.....	£: 12.000.

Akcja pod Starą Wsią.

Komunikaty Sztabu N.W. podają często wiadomości o przeprowadzonych przez oddziały Armii Krajowej atakach na linie komunikacyjne niemieckie: o wysadzaniu w powietrze mostów i przepustów kolejowych, niszczeniu pociągów i dworców. Wiemy, w jak wysokim stopniu ta szeroko rozgałęziona akcja paraliżowała system dostaw wojennych dla frontu wschodniego.

Oto barwny opis jednego z epizodów tej akcji, podany przez polskie pismo podziemne.

"Zimna, dżdżysta, pochmurna noc zimowa. Nieopodal stacyjki Stara Wieś, na linii kolejowej Warszawa-Lublin, po obu stronach toru ciągną się dziesiątkami kilometrów stare polskie lasy, pamiętające rok 1863.

"Nocy dzisiejszej w tych właśnie lasach, blisko toru, zaczęły się oddziały Polskich Sił Zbrojnych. Dłużą się chwile wyczekiwania. Wypełniają je myśli o Niemcach, o ich zbrodniach, o pomordowanych towarzyszach pracy i walki wojskowej. Od pierwszego grudnia czerwone niemieckie afisze na murach Warszawy mówią o publicznych egzekucjach ludzi z Polskiego Związku Powstańczego; pogardliwie, bezczelnie głoszą, że pomordowani byli "na usługach Anglii", "trotrowski zwą polskich żołnierzy "zbrodniarzami". Chmurne i twarde są myśli czuwających żołnierzy. W sercach ich polska krew szumi głęboką nienawiścią do wroga, gorącym pragnieniem odwetu i pomsty.

"Zadudniało w oddali. Zbliża się kurier niemiecki. Szybciej zabiły serca żołnierskie; mocniej zacisnęły się dłonie na broni. Pociąg jest coraz bliżej. Jeszcze chwila - i potężny, gwałtowny huk rozdziela powietrze. Mina nie zawiodła. Oślepiający błysk ognia bucha z toru. W jego świetle widać, jak wysadzona w powietrze lokomotywa skoczyła w górę, jak jej potężny, stalowy kadzub przewala się, zatarasowując drogę. Jednocześnie rozlega się ogłuszający trzask, zgrzyt i łoskot. To trzy pierwsze wagony pociągu idą w miazgę. Dalsze wozy łomocą jeden o drugi, część ich uległa pogruchotaniu, wiele wyskakuje z szyn. Łoskot druzgotanego pociągu łączy się z krzykami przerażenia i rozpacz.

"Z lasu grać zaczynają swą śmiertelną muzykę ka-

rabiny maszynowe. W pociągu jest dużo uzbrojonych Niemców - oficerów, żołnierzy, cywilów. Zły mieli pomysły odpowiedzi strzałami w kierunku lasu. Pada rozkaz szturm na pociąg. Pod jego wagony szybko, jak cienie, podbiegają polscy żołnierze. Przez okna wagonów do ich wnętrza bić poczynają ręczne granaty. Jęki i ryk wewnątrz wagonów wznaga się. Kto może się wydostać, usiłuje uciekać z pociągu, ale wpada pod bagnety i kolby.

"Dłuższy czas trwało ściganie kryjących się Niemców. Dłuższy czas nieznordowanie pracowała polska broń: za zbrodnie niemieckie, za skazańców ostatnich niemieckich egzekucyj, za całą polską mękę pod niemiecką okupacją. ... Nazajutrz w Warszawie wiadomym się stało, iż pod Starą Wsią poległy i odniosły ciężkie rany setki Niemców, w tym wielu wyższych oficerów i poważnych urzędników.

Przyszłość Australii.

M. P.

Krytyczny problem "pustego kontynentu" - tak określa ją znawcy katastrofalny spadek urodzin w Australii.

Pamiętamy jak jeszcze niedawno Australia była zamknięta szczelnie, nie chcąc dopuścić na swój grunt nowych przybyszów.

Była to polityka egoizmu lecz jednocześnie samobójcza.

Australijczycy pragnęli zatrzymać wszystkie bogactwa w swych rękach i zapewnić je swym przyszłym pokoleniom, ale jednocześnie przy wysokim standardzie życiowym, nie potrafili zapobiec zgnuszeniu społeczeństwa, pragnącego używać życia i nie obarczać się rodzeniem dzieci.

Elicie australijskiej zdawało się, iż ich kontynentowi, leżącemu na krańcu świata, nie grozi żadne niebezpieczeństwo z zewnątrz i że nie muszą przeto dbać o odpowiednią do jego wielkości ilość mieszkańców, która potrafiłaby odeprzeć atak z zewnątrz.

Rzeczywistość okazała się inną. Australia pod każdym względem odpowiada Azjatom, a szczególnie Japończykom, rozmnażający się w niesamowicie szybkim tempie.

Czy Australia potrafi rozwiązać piętrzące się przed nią trudności, pokaże to najbliższe kilka dziesiątków lat po tej wojnie.

Problem jest ciekawy. Warto się bliżej z nim zapoznać. Streszczamy przeto ten temat z artykułu p. t. ADVANCE AUSTRALIA - WHERE? - napisanego przez p. BRIAN PENTON.

Jednym z najpoważniejszych zagadnień, przed jakim stanie po wojnie Australia, jest jej zaludnienie. Jest to oczywiste. Siedm milionów Australijczyków broni kontynentu, położonego w najgęściej zaludnionej części kuli ziemskiej. Roczny przyrost ludności Japonii, podwojonej w ciągu sześćdziesięciu lat, wynosi 1.000.000, Indii - 3.500.000, a w 400-milionowych Chinach - nikt nawet nie wie, ile milionów. Z poprawą sanitarnych, higienicznych i żywnościowych warunków egzystencji, tempo przyrostu naturalnego azjatyckich narodów wzrośnie jeszcze silniej. Jedynym lecz tylko częściowym hamulcem będzie równoczesny postęp cywilizacji, pod wpływem którego będą z czasem działać te same czynniki, które obniżają obecnie rozrodność rasy białej.

Obrona kraju nie jest jednak ani jedynym, ani najistotniejszym uzasadnieniem konieczności powiększenia liczby ludności Australii. 25.000.000 mieszkańców, uważane za maksimum, które mogłaby ona pomieścić i wyżywić, byłoby oczywiście niczym wobec olbrzymich sił zorganizowanej Azji. Sedno sprawy tkwi w tym, że bez zwiększenia swej ludności nie jest Australia w stanie wyzyskać kulturalnych i ekonomicznych możliwości kontynentu. Gęstsze zaludnienie zwiększyłoby chętność rynku wewnętrznego i otworzyłoby nowe możliwości dla przemysłu, zapewniając mu opłacalność nowoczesnych metod produkcji.

Jakież są jednak drogi i możliwości zwiększenia ludności Australii. Jej naturalny przyrost w ciągu ostatnich siedmdziesięciu pięciu lat stale się zmniejszał i trudno jest przypuszczać, że powstałe stąd wyrwy da się zapełnić jedynie drogą imigracji. Tym bardziej, że okres powojenny nie tylko luki te powiększy lecz spowoduje również zmniejszenie możliwości zatrudnienia większej ilości nowych przybyszów. Sytuacja nie wiele się zmieni w wypadku ekonomicznej pomyślności po wojnie, wówczas

bowiem poważnie zmaleje prawdopodobieństwo szeroko zakrojonej emigracji z W. Brytanii. Trzy tylko czynniki mogłyby wpłynąć pozytywnie: ludzie mogą mieć dość Europy, W. Brytania może dążyć do przetasowania swej ludności ze względów strategicznych i wreszcie układ powojennych warunków ekonomicznych może obniżyć standart życiowy Europejczyków i zmusić ich do szukania poprawy bytu na innych kontynentach. Wszystkie te jednak czynniki zaistnieć mogą tylko na tle ogólnego pogorszenia się warunków życiowych w całym świecie, wątpliwym więc jest, czy którekolwiek z Dominów mogłoby wówczas wchłonąć większe ilości nowych osadników.

Jeżeli okres powojenny stworzy warunki rozwoju znośnych stosunków ekonomicznych pomiędzy narodami, gęsto zaludnione państwa przemysłowe będą mogły zapewnić swej ludności względnie wysoki standart życiowy. O ile więc tylko przyrost ludności w tych państwach utrzyma się na normalnym poziomie, staną się one raczej celem niż źródłem emigracji. W szczególności, jeżeli zdobędą się na mądrą i celową politykę inwestycyjną. Otworzyłoby to wprawdzie przed krajami zamorskimi widoki na rozszerzenie rynków zbytu dla swych produktów rolniczych. Techniczny jednak postęp przemysłu rolnego pozwoli zapewne Europie na pokrycie we własnym zakresie zwiększonego na te ostatnie zapotrzebowania.

Przypuśćmy jednak, że Australia zdobędzie po wojnie potrzebną ilość odpowiednich jakościowo imigrantów. Nie rozwiąże to jej trudności populacyjnych. Sedno bowiem sprawy tkwi nie tyle w imigracji, ile w rozrodności ludności. Jest to czynnik niezmierniej doniosłości, mogący odegrać decydującą rolę w historii nie tylko Australii, ale wogóle całej białej rasy. W Australii czynnik ten występuje w formie tak gwałtownego zahamowania płodności jej mieszkańców, że stawia to ją wobec widna katastrofy, mogącej nastąpić już w niedalekiej nawet przyszłości.

Objaw ten rozpatrywany był dotychczas i zwalczany jedynie w płaszczyźnie etyki chrześcijańskiej. Wszystkie jednak wysiłki kościoła, zmierzające do zahamowania spadku naturalnego przyrostu ludności

spezły na niczym, zjawisko to bowiem posiadaą głęboki podkład biologiczny i jako takie uchyla się z planu działania świadomej woli człowieka.

Australia rozpatruje najróżniejsze sposoby zabezpieczenia dalszemu spadkowi ludności po wojnie. Projektowane są posagi dla młodych małżeństw, premie dla dzieci, specjalne ulgi i przywileje dla licznych rodzin. Wszystkie te projekty opierają się na założeniu, że jedyną przyczyną spadku urodzin jest bieda z powodu której ludzie nie mogą sobie na dzieci pozwolić. Gdyby jednak tak było istotnie, nie tylko Azja byłaby obecnie wymarłą pustynią, lecz całe półkuli północnej świata już dawno by się wyludnił.

Wielkie nadzieje pokłada się w możliwości masowej emigracji z W. Brytanii, która ze względów bezpieczeństwa zmuszona będzie przenieść z wyspy poważną część swego przemysłu. Są to jednakże nadzieje zawodne, gdyż niepodobieństwem jest przewidzieć, jak będzie wyglądała ogólna sytuacja świata powojennego i związana z nią polityka ogólna W. Brytanii.

Istnieje wreszcie plan osiedlenia w Australii dziesiątków tysięcy Żydów. Już przed wojną zwracali się przedstawiciele żydostwa do rządu australijskiego z propozycją oddania Żydom na osiedle obszaru, położonego w północno-zachodniej części kontynentu, zwanego Kimberleys.

Australia jednak nie chciała i nie mogła się zgodzić na żadną formę separatyzmu narodowościowego na swym terenie.

Imigranci żydowscy, o ile tacy będą, muszą zapamiętać o swej rasowej odrębności, wsiąknąć bez reszty we wspólnotę australijską i współdziałać z nią jak najściślej we wszystkich poczynaniach, zmierzających do utrzymania jej standardu życiowego. Wyklucza to wszelkie widoki na stworzenie w Australii autonomicznych grup imigranckich.

Najbardziej obiecująco zdaje się przedstawiać plan sprowadzenia do Australii sierot wojennych. Nowa Zelandia liczy na 100.000 sierot rocznie. Australia mogłaby przyjąć trzykrotnie większą ich ilość. W jakim stopniu wpłynie to w rezultacie na wzrost jej ludności, będzie oczywiście zależało od tego, czy białe rasy znajdą sposób na podniesienie swej

zanikającej płodności. Bez rozwiązania tego podstawowego zagadnienia, wszystkie plany i zamierzenia są skazane z góry na niepowodzenie.

Drugim zagadnieniem, od którego zależy w znacznej mierze los Australii, jest przyszły stosunek samych Australijczyków do swego kraju. Chodzi mianowicie o to, czy będą oni nadal traktować Australię jedynie jako czasowy teren eksploatacyjny, czy też zdecydują się rozpocząć nowe życie, jakie przystało prawym jej synom i gospodarzom. Jeśli tak, powinni oni poświęcić szczęście obecnej generacji na rzecz zapewnienia dobrobytu przyszłym pokoleniom. Zagrożony wymarciem siedmiomilionowy naród, żyjący w ekonomicznym odosobnieniu i zużywający cały posiadany kapitał, może jeść, pić i używać beztrudko wszelkich dostępnych mu rozkoszy życiowych, musi jednak zrozumieć, że skazuje sam siebie na niechybną zagładę. Nie można budować pomyslniej przyszłości na przeżartym zgnilizną fundamencie. Trzeba przede wszystkim zgniliznę usunąć. Od tego trzeba zacząć.

Minowanie nieprzyjacielskich wód.

M. P.

Amerykański lotnik sierżant Walter Peters, wybrał się jednego dnia w drogę na pokładzie polskiego samolotu. Opisał potem swe spostrzeżenia i przygody w tygodniku armii amerykańskiej YANK.

Dla nas ciekawy jest kąt widzenia, pod którym Amerykanin patrzy na pracę polskiego lotnictwa przy R. A. F.

Pewnej listopadowej nocy roku 1939, żołnierz, stojący na warcie w Shoeburyness u ujścia Tamizy, przypadkowo skierował wzrok na niebo. W tym momencie z ciemno szafirowej głębi spadał, jak jastrząb, Heinkel 115. Na wysokości m. w. 1.000 stóp samolot wyrównał lot i w parę sekund później ukazał się pod nim duży, okrągły przedmiot, zawisł na chwilę na spadochronie i wpadł do morza. Nie mogąc z powodu rozpoczynającego się przypływu zbadać osobiście tajemniczego przedmiotu, wartownik zawiadomił o tym Admiralicję. Niezwłocznie przybyłym na miejsce ekspertom udało się przedmiot wydobyć w stanie

nienaruszonym. Stwierdzili oni że była to okrzyczana niemiecka mina magnetyczna.

Brytyjczycy bardzo szybko przyswoili sobie niemiecką technikę minowania wód z powietrza i obecnie niema ani jednego portu, ani szlaku wodnego na całej długości zachodniego wybrzeża Europy, które byłoby bezpieczne dla statków Osi.

W tej wielkiej robocie biorą udział lotnicy wszystkich sprzymierzonych narodów. Brałem niedawno udział w jednej z takich wypraw, dokonanej przez polski dywizjon lotniczy. Załoga nasza składała się z pięciu młodych Polaków. Pilot, dwudziestoczteroletni sierżant Tadeusz brał już udział w 37 bombardowaniach z wielkich wysokości, obecna jednak wyprawa miała być pierwszą jego próbą niskiego lotu. Przed startem, dowódca dywizjonu wyjaśnił po polsku że celem wyprawy jest pewien odcinek wód w pobliżu wysp Fryzyjskich na północ od Holandii.

Tadeusz spojrzał na mnie: "Obawiam się że nie będzie to dla pana zbyt interesujące", oświadczył miękko. "Daleko lepiej byłoby lecieć nad Bremen".

Dowódca dywizjonu skończył swe wyjaśnienia i zabrał głos po angielsku oficer informacyjny R. A. F. Posługując się wieszacą na ścianie mapą, tłumaczył on szczegółowo, w jakich miejscach mają być zrzucone miny. W nocy samoloty nie lecą w formacjach i przy minowaniu każdy z nich zrzuca swą minę w innym, z góry wyznaczonym mu miejscu. Następny z kolei przemawiał polski oficer informacyjny.

"Pamiętajcie", mówił, "że każda zrzucona przez was mina zmusza nieprzyjaciela do wysyłania na to miejsce całej flotylii poławiaczy min. Oznacza to poważne, choć tylko czasowe uszczuplenie będącego w jego dyspozycji materiału ludzkiego. Zmuszacie go dalej do wysyłania licznych myśliwców nocnych dla patrolowania przybrzeżnych wód i utrudniacie żeglugę pomiędzy Niemcami a państwami skandynawskimi.

"W rezultacie tej działalności zmniejszył się poważnie dowóz rudy żelaznej i aluminium do Niemiec, co musiało zahamować wydajność całej ich maszyny wojennej. Inaczej mówiąc", ciągnął dalej "dzięki naszemu wysiłkom, Niemcy tracą stopniowo swobodę

ruców na szlakach morskich. Im prędzej uda się wam zamieść je dla nich całkowicie, tym prędzej powrócimy do wolnej Polski".

Na parę minut przed startem Tadeusz zaproponował mi ulokowanie się pod t. zw. gwiazdną kopułą. "Stamtąd", oświadczył, "będzie pan wszystko widzieć. Ponadto potrzebny jest tam ktoś na wypadek zaatakowania nas przez nurkujące myśliwce. Jeżeli pan zauważy jakikolwiek samolot, proszę natychmiast nas o tym zawiadomić".

W oznaczonym momencie zajęliśmy miejsce na bieżni. Całe lotnisko usiane było różnokolorowymi światłkami, z których każde miało swoje specjalne znaczenie. Za nami stały inne samoloty z zapalonymi światłkami na skrzydłach. Były to, podobnie jak i nasz-Wellingtony. Długi szereg samolotów wyglądał jak karawana wozów na amerykańskiej szosie.

W samolocie panowała cisza. Słychać tylko było w wewnętrznym telefonie głos nawigatora Ludwika. Była to jego pierwsza wyprawa bojowa. Mówił jednak zupełnie spokojnie i robił wrażenie bardzo pewnego siebie. Można było wyczuć, że i cała załoga ma do niego zaufanie.

Morze Północne nie jest piękne w nocy. Przynajmniej tej właśnie nocy nie wyglądało ono uroczo. Nisko wiszące chmury były czarne i ponure. Woda pod nami, dostrzegalna poprzez luki w chmurach, miała wygląd roztopionego ołowiu, o brudno-brunatnym odcieniu. Nad niemieckimi wodami terytorialnymi chmury zaczęły się jeszcze bardziej zgęszczać. W pewnym momencie stały się one tak zbite i czarne, że przez dobrych dwadzieścia minut trudno było zorientować się czy lecimy poziomo, czy pionowo. Tadeusz zaczynał się irytować, tego rodzaju bowiem warunki atmosferyczne mogły mu uniemożliwić wykonanie wyznaczonego zadania. "Zrzucenie miny poza obrębem szlaku wodnego jest bezcelowe", powiedział oficer informacyjny.

Dziwne, jak silne uczucie pragnienia może wywołać u człowieka przedłużający się stan nerwowego napięcia. Lecieliśmy nisko bez maszyn sterowniczych, sięgnąłem przeto po wiszący obok mnie becznik i zacząłem nalować sobie do kubka...

tej samej chwili usłyszałem głos pilota, mówiącego do celowniczego: "już tylko jedna minuta" i krótszą odpowiedź tegoż: "okay".

Za chwilę więc znajdziemy się na progu nieprzyjacielskiego terytorium. Ponieważ jak należało sądzić wyspy Fryzyjskie nie są bronione przez strzelające grochem armatki, należało być przygotowanym na gęsty ogień. Popijałem powoli swą kawę, nie przestając rozglądać się bacznie dookoła. Wkrótce po obu stronach samolotu pojawiły się zarysy lądu. Lecieliśmy nad wąskim przesmykiem wodnym, rozdzielającym dwie wyspy.

Nagle samolot zakołysał się gwałtownie i zaczął opadać. Nad lewym skrzydłem zaczęły wybuchać zielone kule ogniste i wydało się nam przez chwilę, że zostaliśmy trafieni. Tadeusz bez przerwy prawie mówił coś przez wewnętrzny telefon. Wtem znowuż zupełnie nagle samolot zaczął prawie pionowo opadać. Zdawało się, że jeszcze chwila i znajdziemy się w wodzie.

W pewnym jednak momencie Tadeusz wyprostował samolot. Lecieliśmy otoczeni ze wszystkich stron najpiękniejszymi sztucznymi ogniami, jakie w życiu widziałem. Wybuchy następowały po sobie prawie bez chwili przerwy, bliżej nas jasno-zielone, trochę dalej - czerwone. Strzelała lekka i ciężka artyleria przeciwlotnicza.

Chcąc lepiej widzieć, co się dzieje poza nami wstałem i przytknąłem głowę do szczytu szklanej kopuły, pod którą siedziałem. Szybko jednak usiadłem z powrotem i skuliłem się jak mogłem. Rozpalone jasno świecące kule karabinowe gwizdały wzdłuż samolotu i bezpośrednio nad moją głową. Wypiłem szybko resztkę kawy i znowu wyjrzałem przez szyby. Doświadczeni ludzie twierdzą, że kule, które się widzi nie są niebezpieczne. Te najgorsze, imiennie zaadresowane, są zwykle niewidoczne. "Czas", odezwał się nagle nawigator.

Celowniczy mruknął coś po polsku i w tym samym momencie usłyszałem gdzieś pod środkiem podwozia głuchy łaskot odrywającej się od samolotu miny. Z miejsca, w którym się znajdowałem, nie mogłem obserwować jej lotu. Dwudziestojednoletni jednak strzelec ogonowy, mający już za sobą osiemnaście

lotów bojowych, widział dokładnie jak otworzył się spadochron i mina zanurzyła się w wodzie.

Zdawało mi się, że dobra godzina minęła zanim udało się nam wyprowadzić samolot z wąskiego pasa pomiędzy dwiema wyspami. W rzeczywistości, zajęło to tylko około dziesięciu minut. Nieprzerwany ogień artylerii i karabinów maszynowych sprawił, że okres ten wydał się sześciokrotnie dłuższy. Przez cały ten czas Tadeusz nie przestawał kląć. Był on jednak zadowolony. Zadanie zostało wykonane i już tylko jakiś trafny strzał mógł nam przeszkodzić w powrocie do bazy. Niemcy jednak nie mieli tej nocy szczęścia i wkrótce znaleźliśmy się z powrotem nad Północnym Morzem.

W telefonie odezwał się głos Tadeusza, nakazujący wszystkim zwracanie pilnej uwagi na nieprzyjacielskie konwoje. Chodziło o to, żeby o każdym zauważonym konwoju zawiadomić niezwłocznie brytyjską bazę ścigaczy.

Gdzieś daleko przed nami, jaśniało wielkie bursztynowe światło, z którego wyskakiwały ledwie dostrzegalne płomyki ognia. To jakiś okręt nieprzyjacielski ostrzeliwał jeden z naszych samolotów. Zdaniem Tadeusza, mógł to być konwój. A żeby wyjść z zasięgu ognia, nawigator podał lekką zmianę kursu i Tadeusz zawrócił we wskazanym kierunku.

W kilka minut później bursztynowe światło zgasło i znaleźliśmy się znów w ciemnościach, zawieszeni pomiędzy ponurymi, czarnymi chmurami a ciężką brązową wodą. Widok ten jednak nie był już tak przygnębiający, jak poprzednio. Zadanie wykonaliśmy dobrze, a wkrótce dziewczęta W.A.A.F. poczęstują nas koniakiem, kawą i sandwiczami. A potem - rozkosz czystego i ciepłego łóżka! Wszyscy już bowiem byliśmy bardzo głodni i senni.

Administracja "CO SLYCHAĆ" przyjmuje wszelkie drobne prace drukarskie w języku polskim i angielskim.

Wykonujemy szybko różne zaświadczenia, świadectwa szkolne, legitymacje i t.p. Zamówienia od 100 egzemplarzy. Polecamy tanio bloczki. Zlecenia od 1/2 tuz.

Pozostało nam jeszcze kilkadziesiąt kompletów tygodnika z lat 42 i 43 w cenie 12 szyl. za komplet. Zamówienia, jak również i na pojedyncze egzemplarze, przyjmuje Administracja - 40, Bruntsfield Pl., Edinburgh.

Bombardujemy Turyn.

Por. Heibert.

W pewnej chwili Zygmunt oświadczył, że mijamy Dijon. Góral sprawdził czas lotu i stan zbiorników, poczem zapytał strzelców, czy nie śpią. Odpowiedzieli kolejno, najpierw Bujak, potem Pryszczyk i znów zapadło milczenie.

Nabierałem teraz wysokości, bo o sto mil dalej na południo-wschód stała przed nami ściana Alp. Chmury rozchodziły się raz po raz, aż ustąpiły miejsca stadom wydłużonych, kłębiastych obłoków. Widać było ich granicę, poza którą leżała ciemna, aksamitna przestrzeń, bezbrzeżna jak granatowy ocean.

Ale na lewo w skos wyrósł z tego oceanu długi, poszarpany atol białego koralu i zabiegł nam drogę: grzbiet Jury. Spiętrzał się, podnosił się coraz wyżej, jak grzbiet fali pod wiatrem i zdawał się iść ku nam z boku, spieniony, załamujący się u szczytu, jak na przyboju.

-To już Alpy? - spytał Bujak.

-Nie - powiedział Zygmunt. - Jak zobaczysz Alpy, to ci dopiero oko zbieleje.

- Podobnież Świętego Bernarda się ta największa góra nazywa - odezwał się Pryszczyk. - Psiarnie tam założyli i fabrykie szwajcarskiej czekulady. Ale kudy jeim do Wedla, nie? Przeważnie tylko ichni ser będzie lepszy niż nasz holenderski. A znów psy, to w Żółty Wsi byli uczone jak rabiny. Będziem koło tego Bernarda lecieć, panie kapitanie?

Zygmunt powiedział, że nie, ale może zobaczymy z daleka Mont Blanc. Niema tam wprawdzie ani psiarni, ani czekolady, ale zato Mont Blanc jest wyższy, niż St. Bernard.

Potem rozmowa przechodzi na Włochy i Turyn.

Nikt z załogi nie życzy źle makaroniarzom. Niema ni śladu tej zawziętości, która nas opanowuje, gdy lecimy bombardować Niemcy.

Bujak wspomina z westchnieniem, że w drodze z Rumunii przez Włochy do Francji pił doskonałą czarną kawę na dworcu w Turynie i zostawił tam nowotki pilśniowy kapelus.

- To już tera przepadł na amen - podrwiwa Pryszczyk. - Zbombiem go razem z tym dworcem.

Po chwili zaś pyta, co jeszcze "w te Turynie" warto bombardować.

- Fiata - powiada Koza.

Ta nazwa elektryzuje tylnego strzelca.

- Rany-julek, prawda.

Ale i Fiata mu trochę żal, bo - zawsze to samochody, on zaś "z cywila" jest kierowcą.

Tymczasem pienisty atol Jury wszedł nam pod skrzydła i spłynął w tył. Zalsnił w dole Rodan, a na prawo księżyc wpadł do jeziora d'Annecy i rozpuszczał się w nim wielką błyszczącą plamą.

Zygmunt podał nowy kurs i lecieliśmy dalej nad fałdami Alp, coraz wyższych, wspinających się coraz potężniej, jakby nam chciały zastąpić drogę.

Silniki pracowały równo i ciągnęły, jak smoki. Niebo stało przejrzyste, głębokie, pełne gwiazd. Śniegi skrzyły się na turniach przed nami.

Wreszcie góry zaczęły opadać, a daleko, daleko zamajaczyło coś różowo jak tunel mgły, stojącej nad ziemią o brzasku. Tam leżał Turyn.

Ale to, co wydawało nam się z początku mgłą, nie było nią wcale.

To był dym. Miasto płonęło. Zobaczyliśmy je całe w czerwonych pełganiach i migotach, nad ognistą wstęgą Padu, odbijającą pożary. Kilka zaledwie, czy może kilkanaście reflektorów błędziło po niebie, a krwawy opar dymów bił na 8 lub 10 tysięcy stóp w górę, przeszywany gęsto ściegiem pocisków świetlnych artylerii przeciwlotniczej.

Samoloty idące przed nami zrzucały swój ładunek, zapalając coraz to nowe latarnie śmierci w obrębie miasta. Widać było wyraźnie ogromne pomarańczowe wybuchy bomb kruszących i magnezjowe, błękitne zygzaki, skaczące po ziemi jak błyskawice - zapalających. Raz po raz strzelały w górę całe snopy płomieni, rozżarzonych odłamków, i rozprysków.

Zdajemy sobie sprawę z tego, co się dzieje w tym bombardowanym Turynie. Każdy z nas zapewne wspomina Warszawę z września roku 1939 i Londyn z czasów Bitwy o Wielką Brytanię. Każdy z nas przeżył to na ziemi, w takim, czy w innym mieście.

Każdy widział szalejące olbrzymie jęzory ognia w przerażonych oknach bez ram i szyb; walące się dachy i ściany; ziemię rozstępującą się pod bombami i wyrzucane wysoko belki, kamienie, gruzy; poszarpane trupy ludzi; zabite kobiety, pomiażdżone dzieci. Każdy słyszał straszliwy świst bomb, spadających dokoła; wrzaski przerażenia; rozpaczliwe wołania ginących; wycie płonących żywcem; jęki rannych i - ponury, groźny warkot silników nad głowami.

Dopóki sprawa jest z Niemcami, myśl o tym wszystkim wywołuje drapieżny uśmiech na twarzy załogi. Teraz - nikt się nie uśmiecha, bo - Włosi jednak nie bombardowali Warszawy...

- Włecie, - mówi Bujak - nie mam pojęcia co bym tym ludziom powiedział, gdyby nas tak zestrzelili... Gdybym wylądował na spadochronie w tym piekle, ja, jeden ze sprawców tego, co się tam dzieje...

Zygmunta aż poderwało:

- O zestrzeleniu możesz sobie gadać na ziemi, nie nad celem, idioto! A jak ciebie zestrzelą, no to się ukłoń i powiedz: "Bona sera", po włosku i "sorry" po angielsku - rozumiesz? Rzewniak, psiakrew!

- Reflektory z prawej - woła Bujak.

- A, do cholery z reflektorami. I tak g... zobaczą.

Istotnie reflektor musnął nas błafo przez zasłonę dymów i skłonił się w inną stronę, Zygmunt zaś przestał się złościć i wybierał cel.

Wypatrzył czarną, nieregularną plamę wśród płonących zgłiszcz i naprowadzał mnie sumiennie, bez pośpiechu, bo obrona jakby słabła, ogień zaś nie był celny.

W lewo... jeszcze w lewo... Za dużo. W prawo... Tak jak teraz... - I ciekłą sekundę.

- Znosi nas w prawo. Jeszcze trochę: 5 stopni... 3 stopnie... Dobra. Lecę, blokując nogami ster boczny, ze wzrokiem utkwionym w żyro-kompas, a cała załoga czeka w napięciu.

Wszyscy przestali już myśleć o nieszczęsnych Włochach, o pożarach, o skutkach bombardowania: to, co many wykonać, sprowadza się w umyśle każdego z

nas do tych proporcji i doznań, jakie obejmujemy wzrokiem z kabiny samolotu.

Zygmunt widzi tylko nitkę celownika, pod którą przesuwa się ciemna plama wśród blasków i ogników; ja widzę tylko przyrządy, wskazujące odchylenia maszyny z prostej linii lotu; Góral skupia się, by nacisnąć wyłącznik - mały, gładki, błyszczący guzik, który zwolni bomby; pozostali czekają, zapatrzeni w dół: za chwilę zobaczą na czarnym tle celu błękitno-białe zygzaki, jak od wyładowań elektrycznych, i ciemna plama powinna zniknąć - powinna zacząć pełgać, żarzyć się, jak wszystko tam w dole. To będzie znaczyło, że wykonaliśmy zadanie.

Śmierć, zniszczenie, chrupot łamanych kości, skwierczenie płonących ciał, wrzaski i wycia, łoskot i rumor walących się domów - nie dojdą naszych uszu i nie staną nam do oczu. To będzie tak, jakby kto rozgrzebał patykiem wygasające ognisko. Z pod popiołu wydostaną się nadwęglone gałazki, zataleją, zadymią i zapłoną. To wszystko, co zobaczymy.

Nasze bomby poszły punktualnie o wpół do dziesiątej, ale nie były ostatnimi, jakie tego wieczora spadły na Turyn: idąc kursem powrotnym, długo jeszcze widzieliśmy pomarańczowe i magnezjowe błyski nad miastem, w którym był Fiat i pozostawiony przez zapomnienie kapelusze Józka Bujaka.

/Przedruk z P.A.P. Światpol/.

Czy wiecie, że...

Na terenie Wielkiej Brytanii utworzył się Związek Kolejarzy Polskich.

Do Związku należą wszyscy b.kolejarze polscy, bez względu na posiadane wykształcenie i stanowisko. W obecnej chwili zarejestrowało się przeszło 200 członków, przeważnie z szeregów Armii Polskiej. Dalsze zgłoszenia napływają również od Kolegów, przebywających zarówno na Bliskim Wschodzie jak i we Włoszech.

Siedziba Związku mieści się narazie w Londynie 54, Sloane Street. S.W.1.